





# Co mówi Paryż o przyszłej modzie?

## Opinie wybitnych fachowców i sław krawieckich

Walka krótkiej sukni z długą wróży zwycięstwo tej ostatniej  
(Specjalna korespondencja „Głosu Polskiego“)

Paryż, w sierpniu 1925 r.

Paryski fotograf i referent działu mód w kilku pismach paryskich, baron de Mayer, pomieścił ostatnio w paryskim wydaniu „New York Herald” szereg interesujących wywiadów z kilku najwybitniejszymi twórcami mody, które rzucają ciekawe światło zarówno na styl dzisiejszy mody, jak też zawierają pewne wskazówki na przyszłość.

Głównym tematem dyskusji są dwa szczegóły, które jednak stanowią charakterystyczne cechy sylwety kobiecej, mianowicie krótka spódniczka i podniesiona linja talii.

Poniżej podajemy najbardziej znamienne opinie:

**JEANNE LANVIN.**

Specjalistka w sukniach stylowych, wypowiada następujące zdanie w sprawie możliwości rozwoju mody: „Wierzę w powrót krótszej linii stanu w najbliższej przyszłości, jak również w długie jeszcze istnienie krótkich spódniczek. Długiej sukni chyba już nie wdziejemy na ulicę“.

**JEAN PATOU.**

Charakteryzuje swój program: „Podniesiona linja stanu, którą lansowałem pierwszy, będzie, moim zdaniem, mieć daleko idące następstwa. Będę się starał, by modele moje dawały większą swobodę ruchów, jednak mimo to w dalszym ciągu trzymam się sylwety szczupłej i wysmu. kłej. Suknia całkiem prosta przeżyła się, wobec czego zamierzam powrócić do kształtów z r. 1860, oczywiście w zastosowaniu do dzisiejszych stosunków“.

Kilku proroków mody wypowiada się przeciw sukniom zbyt krótkim.

**PAUL POIRET**

mówi: „Jestem przeciwnikiem krótkich sukien. Wchodząc do mego salonu przyjąć, obserwuję me klientki, siedzące dookoła pod ścianami. I co widzę? Wystawę nóg! Niekiedy widok wcale nieciekawym. Dawniej żadna kobieta nie nosiła na stałe półtrzewików, wskutek czego noga w kostce była cienka i wysmukła. Dziś trzewik nie daje kostce żadnego oparcia, która wobec tego puchnie ze zmęczenia. Krótkie suknie i pończochy cieliste — mnie się to nie podoba“.

Do zdania tego przychyliła się i

**MADELEINE VIONNET,**

której podobają się suknie szerokie, gdyż uważa je za bardziej kobiece. I mówi dalej: „Krótkie suknie? Nie, napewno nie! Chyba dla sportu. Poza to jednak żaden z modeli mej kolekcji nie jest robiony na krótko, a te z moich klientek, które skracają sobie suknie, czynią to bez mej wiedzy i zgody. Krótką suknię może nosić tylko kobieta bardzo młoda, o wyjątkowo pięknych i zgrabnych nogach. Rzeczy brzydkich lepiej nie pokazywać“.

Również zdanie

**LUCJANA LELONG**

wskazuje na to, iż mimo kosztownych materiałów formy mody pozostaną skromne

**ROGER REGIS,**

## Na stopniach szubienicy

Czwartek, 7 maja. — Dość mam tego życia, popełnię samobójstwo. Zawsze miałem pecha. Urodziłem się w piątek i nie posiadam nawet miejsca urodzenia: rzecz wydarzyła się w ekspresie między Paryżem a Bordeaux. Paryżanie wypierają się mnie, nazywając mnie „południowcem“, zaś obywatel Bordeaux znajdują, że mówię akcentem belgijskim.

Oddano mnie na wychowanie: mamka moja uciekła z jakimś brazylijczykiem. Prostu pech prześladowa mnie bez przerwy. Wstąpiłem, jako ekspedjent do ministerstwa. I do jakiej służby mnie przydzielono? Do Gujany, jak zbrodniarza. Biuro moje było naturalnie najciemniejsze, najmniej wygodniejsze, najwyższej położone w ministerstwie.

Koleżdy moi mieli niezliczone miłośki i podostawali wreszcie różne odznaczenia. Ja nic.

Zapomniano tam o mnie zupełnie. W międzyczasie postarzałem się. Zbyt nieśmiały, by zalecać się do kobiet, zbyt ubogi, by się z którą ożenić, nie kochałem żadnej i żadna nie kochała mnie. Jedyna kobieta, która wchodzi do mego pokoju, to moja gospodyni. Jest stara i brzydka, niemą i opryskliwa i przypała wszystko, cokolwiek kótnie.

Wkrótce skończę 50 lat. Inni mają różne przyjemności. Ja zaś — ja mam tylko

postrzał w krzyżach, który daje mi się we znaki przy każdej zmianie pogody. Mam tego dosyć. Chcę umrzeć.

Piątek, 8 maja. — Zdaje się, że to takie proste, ale przecież nie jest tak łatwo zdecydować się na rodzaj śmierci. Jednakże, „zbadamy naprzód precedensy“, jak się mówi w ministerstwie. Biorę gazetę i czytuję między wypadkami drobnymi: „Lunaticzka utopiła się w Sekwanie“. — „Desperat skacze z Łuku rytmfalnego“. — „Nieszczęśliwie zakochany zastrzelił się“. — „Wdowa się powiesiła“. — Wszystko to nie odpowiada mi. Może noc przyniesie jaką radę. Czekajmy.

Sobota, 9 maja. — Istnieją samobójstwa mniej lub więcej bolesne, mniej lub więcej kosztowne. Z moją pensją skromnego urzędnika nie mogę sobie pozwolić na luksusową śmierć Rotszylda. Druga noc przyniesie może lepszą radę. Chcę się jeszcze zastanowić.

Niedziela, 10 maja. — Myślałem dużo w nocy i obliczyłem mój majątek. Pozostaje mi jeszcze wszystkiego 531 franków 50 centymów. Licząc, że odbiorę sobie życie od dziś za cztery dni, wypadnie na dzień 147 franków 87 centymów. Jak dla mnie całkiem ładna sumka. Będę mógł przynajmniej użyć ostatnich rozkoszy istnienia. I zrobię tak. Te cztery dni będę żył, jak książę. A potem — powiesz się.

Zdecydowałem się na ten rodzaj śmierci i nie mogę tego zmienić, gdyż złożyłem przysięgę. Zresztą zdaje się, iż śmierć ta jest szybka i pewna. A także tania. Mam gdzieś sznur od kosza podróżnego. Odbi-

ze mną już kilka podróży, niechże mi służy i w tej ostatniej.

Poniedziałek, 11. — Dziś rano postąpiłem do ministerstwa prośbę o dymisję. Muszę teraz mieć absolutną wolność. Całe przedpołudnie leżałem w łóżku, napawając się myślą, iż moi biedni koleżdy o tym czasie pilnie skrobą po aktach i papierach — uczucie rozkoszne, którego nie miałem dotychczas. Przepyszne!

Wyszedłem po południu i spacerowałem, gdzie mi się chciało: przez rue de la Paix, wzdłuż bulwarów, przez Pola Elijskie. Słońce świeciło, jak złoto, drzewa zieleniły się już pierwszymi liśćmi, kobiety w oczach i uśmiechu mają coś nieokreślonego, coś, czego zresztą nigdy nie zauważyłem. Jakkże piękne byłoby życie, gdyby wszystkie dni były takie, jak ten! Ale myślę się napewno, śmieję i to tylko mój bliski koniec wywołuje te przyjemne uczucia, które w rzeczywistości wcale nie istnieją. Ach, ta zwodnicza wiosna!

Dziś wieczór uregulowałem me rachunki: obiad i kolacja w resaturacji, trzy małe piwa, dwa cygara: mój dzienny budżet 147 franków jeszcze nie wyczerpany. Zresztą, poco napróżno rachowałem? Wszystko wydam od razu. Ale gdzie? Mam! Do jakskini gry! To ciekawe przypatrywać się grającym!

Wtorek, 12. — Byłem w klubie entomologów. Grano bakaratą. I ja grałem; jak — nie wiem. W każdym razie wygrałem 2,325 franków. Ale jak wydać taką sumę za trzy dni?

Środa, 13. — Wczoraj, muszę przyznać, bawiłem się wysmienicie. Po południu zwiedziłem muzeum w Luwrze, wieczorem zaś wszystkie kabarety na Montmartre. W ostatnim — nie pamiętam nazwy, bo piłem dużo szampana — poznałem zachycającą kobietę. Jak mi mówiono, ma to być córka oficera sztabowego, a wdowa po oficerze marynarki! Odkryła we mnie manery oficerskie i — spodobałem jej się. Mam się jeszcze zobaczyć.

Czwartek, 14. — Zaprawdę, nie miałem racji, życie kryje w sobie przecież dużo piękna i uroku. Widziałem się z Karoliną. Jedliśmy razem obiad, byliśmy w teatrze, a potem razem na kolacji. Pieniądze tak tylko leżą mi przez palce, ale się tem nie przejmuję. Co wieczór odbywam zwykły mój spacer do klubu entomologów i zgarniam tam pieniądze. Bardzo wesołe zajęcia. Zresztą wszystko jest wesołe. Paryż, wiosna, bulwary, teatry, kawiarnie, Karolina i ja sam. Zdaje się, że jestem nawet bardzo wesoły, ja, surowy urzędnik, gdy wszędzie nazywają mnie „nigolo“. Wszystko jest doskonałe na tym najlepszym ze światów. Tylko tak mi się kręci w głowie

Piątek, 15. — Fatalne pięć dni minęło. Dziś jest okrutny termin, gdzie mam się powiesić. Ale, jak zrezygnować z życia, skoro daje nam tyle przyjemności? To byłoby wariactwo! Ale moja przysięga? Ach, głupstwo! Niech żyje radość — a, jeżeli dziś wieczór powieszę, to najwyżej na Karolinę!

Przełożył Mar. T.











